

Czekoladki z Lidla idą do nieba

Kiedy tylko tata przyszedł do mnie do pokoju, usiadł na łóżku i powiedział mi tak cicho, że ledwo dosłyszałem, że dziadek nie żyje. Klasnąłem w ręce z radości, zerwałem się z krzesła i pobiegłem na dół, do jego pokoju znajdującego się koło schodów, żeby się przekonać, czy istnieje życie po śmierci. Taki mieliśmy z dziadkiem układ, że gdy już umrze, to powie babci, żeby poczekała, że zaraz do niej tam, do nieba, wróci, tylko skoczy do swojej klitki i zrzuci na podłogę tego małego szklanego kotka, który stoi na parapecie. Ale spokojnie – pod oknem leżał dywan, kotu by się nic nie stało, a ja bym się wreszcie dowiedział.

Ojciec bardzo po dziadku płakał, pewnie dlatego, że to był jego ojciec, a nie mamy. Mamie było trochę smutno, co mnie dziwiło, bo wcześniej ciągle się z dziadkiem kłóciła. Dziadek wyzywał ją od lafirynd (zawsze lubiłem ładne słowa, to mi się szczególnie spodobało, chociaż wciąż nie wiem, co znaczy, tata nie chce mi powiedzieć), ojciec groził mu wtedy odesłaniem do domu starców, a dziadek się odgrażał, że faktycznie tam kiedyś trafi, i potem zamykał się w swoim pokoju, tym koło schodów. Wtedy czasami do niego przychodziłem i razem obrażaliśmy się na świat, bo ja też trochę powodów ku temu miałem. Dziadek dawał mi czekoladkę z kalendarza adwentowego (kupował je za grosze w Lidlu po Wigilii i kitrał pod łóżkiem, i wcinał, gdy miał zły humor, chyba że do niego przyszedłem, to wcinaliśmy razem). Czasami nawiedzał go inny dziadek, który nie znał nikogo z nas – ani mnie, ani mamy, ani taty – i bardzo się z tego powodu złościł, że mieszka w obcym domu z obcymi ludźmi. Ale prędzej czy później ten inny dziadek odchodził, a wracał do nas dziadek właściwy i wydłubywał z plastikowych foremek czekoladki w kształcie choinki, albo aniołka czy prezentu z kokardką, chwycił szorstkimi palcami z powygryzаныmi, zwieńczonymi czarnymi półksiężycami paznokciami, po czym kładł mi je na dłoni.

Dziadek lubił przesiadywać w fotelu pod oknem i wypatrywać naszego wracającego z pracy sąsiada, Falkowskiego. Kiedy tylko zobaczył czerwone punto wyjeżdżające zza rogu, wstępowało w niego nowe życie – prostował się, napinał i ciskał brzydkie słowa, jakby te wyrazy miały przeniknąć przez szybę, przelecieć przez trawnik, przeskoczyć przez ogrodzenie i walnąć sąsiada w ten głupi ryj. Podobno poszło o to, że parę lat temu dziadek zostawił rower przed bramą, a ten frędzel wpierdolił się w niego „punciakiem” i do niczego się nie przyznał, a rower był do wyrzucenia. Kiedyś dziadek chciał mi dać sto złotych za ciśnięcie kamieniem w szybę auta Falkowskiego. Powiedziałem, że rodzice mi za to żyć nie dadzą, a dziadek odpowiedział, że mnie co najwyżej zmyją głowę, ale sto złotych będę miał,

za to jego odeślą do domu starców. Oznajmiłem, że jak tak, to tysiąc złotych. Dziadek powiedział, że się zastanowi.

Tata bardzo po dziadku płakał, co było bez sensu, ale on o tym nie wiedział, bo i skąd miał wiedzieć, prawie z nim nie gadał. Dziadek powiedział mi kiedyś, że to nie jest tak, jak ludzie myślą – że się umiera i człowieka nie ma. Po pierwsze, trafia się do nieba, a w niebie jest się znowu młodym, lata się za dziewczętami i obżera żeberkami. Zapytałem, czy mają tam zeszłoroczne kalendarze adwentowe z Lidla, a on powiedział, że gdzieś muszą lądować te, których nie wykupił. Po drugie, wcale nie jest powiedziane, że się potem człowiek nie urodzi na nowo. Możliwe, że kiedyś dziadek znów przyjdzie na świat, na przykład jako mój syn. Bardzo mnie to zdumiało, więc dociekałem, czemu akurat tak. Wtedy posmutniał i zapytał, czy ja naprawdę nie chcę mieć takiego syna jak on. Mi się od jego smutku też smutno zrobiło, powiedziałem więc, że pewnie, że chcę. Dziadek pokiwał głową i odparł, że w takim razie postanowione, tylko żebym dał mu jakieś męskie imię, a nie znowu „Ignacy”. Zapytałem: „A co, jeśli urodzi mi się córka?”. Dziadek natychmiast ze smutnego zrobił się wkurzony i trzepnął mnie w kark. Kazał ani mi się ważyć.

Mama powiedziała, że to nie jest tak, że można sobie wybrać płeć dziecka. Na moje dalsze wątpliwości odpowiedziała pytaniem, skąd mi się wzięły takie tematy w głowie, a ja na to, że wszystko przez szkołę. Zmarszczyła brwi – całkiem podobnie robił to dziadek, nie wiem, czemu nie mogli się ze sobą dogadać, skoro byli tacy podobni – pojęczała trochę na tych durnych nauczycieli, których ona miała lepszych za czasów jej dzieciństwa, i poszła dalej piec karpatkę. Bałem się wrócić do dziadka ze straszną nowiną. Cały dzień chodziłem po domu jak struty, nie wiedząc, co miałbym zrobić, jeśli kiedyś urodziłaby mi się córka. Przecież nie nazwę jej męskim imieniem. No i dziadka szkoda.

W każdym razie tego dnia, gdy tata powiedział, że dziadka już nie ma, pobiegłem do jego klitki, zanurkowałem pod łóżko, bo – zgodnie z obietnicą – odziedziczyłem dwa i pół kalendarza adwentowego, usiadłem na jego fotelu stojącym pod oknem, nie obawiając się nieoczekiwanego kuksańca z tego tytułu, i wpatrywałem się w szklanego kota, wcinając czekoladkę za czekoladką. Ale kot się nie poruszył. Stał w miejscu, na czterech szklanych łapach, wytrwale zakrzywiając przezroczystymi bebechami świat zza okna. A gdzie dziadek? Może się z babcią zagadał? Może uspokoiła go, że jeśli urodziłaby mi się córka, to ona weźmie to wolne miejsce na ziemi, a on poczeka, aż ona, jako ta córka, będzie miała syna? Miałem nadzieję, że jakoś się dogadają.

Kot stał, nieznośnie nieruchomy, złośliwie nie chciał spaść. Tata i mama rozmawiali ze sobą w głębi domu tak cicho, że słyszałem tylko pogłos szybko wypowiedzianych słów. Nagle

rozległ się donośny huk, aż mama i tata wybiegli z domu i popędzili do furtki. W betonowy słup latarni wbite było punto Falkowskiego, spod zwiniętej w harmonijkę maski unosił się dym, a sąsiad skakał po ulicy jak pajac.

No dobra, dziadek, rozumiem. Miałeś ważniejsze rzeczy na głowie.

Alina Tuchołka